BUC
kwiecień 2021 nr 125
BEZPŁATNA GAZETA STUDENTÓW WYDZIAŁU NAUK POLITYCZNYCH I DZIENNIKARSTWA
BARDZO UNIWERSYTECKIE CZASOPISMO

Idealne zdanie nie istn… Kwietniowy numer BUC-a już przed Wami!

Tym razem porozmawiamy o projekcie realizowanym pod czujnym okiem Pana Profesora Brańki, Pana Profesora Donaja oraz Pana Profesora Jańczaka. Czym jest BBSR? Co ma na celu? Czy pandemia utrudnia realizację międzynarodowych grantów? Wszystkiego dowiecie się z poniżej rozmowy, do której zapraszam

Czym jest BBSR i dlaczego jest to bardzo interesujący projekt?

– rozmowa z Prof. Brańką, Prof. Donajem oraz Prof. Jańczakiem


archiwum prywatne Ł. Donaj

Uczestnicy Baltic-Black Sea Connection Project

Na naszym wydziale realizowanych jest wiele projektów międzynarodowych. Jeden z nich kryje się pod tajemniczym akronimem BBSR. Czym on jest?

Czy tajemniczym…? Jesteśmy przekonani, że wielu studentów WNPiD – zwłaszcza stosunków międzynarodowych – potrafi ów akronim, przynajmniej jego część, rozszyfrować: BBSR to Baltic and Black Sea Region. Jest to też skrócona nazwa projektu „Rethinking Regional Studies: The Baltic-Black Sea Connection (BBSR)", realizowanego w zakresie tzw. budowania potencjału w szkolnictwie wyższym (Capacity Building in Higher education) w ramach programu Erasmus+. Brzmi skomplikowanie, ale w skrócie: ten typ projektów polega na współpracy uniwersytetów z UE i uczelni partnerskich z innych regionów świata. Projekty z zakresu budowania potencjału wspierają procesy modernizacji i umiędzynarodowienia zarówno poszczególnych uczelni oraz całych systemów szkolnictwa wyższego. Mają one zawsze charakter międzynarodowy i są oceniane przez Agencję Wykonawczą ds. Edukacji, Kultury i Sektora Audiowizualnego (EACEA) w Brukseli.

Po co właściwie powstał ten projekt? Co ma na celu?

Głównym celem projektu – realizowanego od 2017 roku – jest opracowanie innowacyjnego programu studiów magisterskich dla wybranych uniwersytetów ukraińskich. Program dotyczy zagadnień związanych z regionem Morza Bałtyckiego i Morza Czarnego. Jest on realizowany w języku angielskim na Lwowskim Uniwersytecie Narodowym im. Iwana Franki, a jego poszczególne moduły są oferowane na wybranych ukraińskich uczelniach. Program budowany we współpracy z czterema unijnymi uczelniami stanowi dla studentów doskonałą okazję do zdobycia interdyscyplinarnego doświadczenia edukacyjnego, połączonego z innowacyjnymi praktykami nauczania. W szerszym ujęciu, wdrożenie takiego programu magisterskiego i modułów na ukraińskich uniwersytetach będzie promować dalszą współpracę pomiędzy uczelniami Ukrainy i uczelniami krajów regionu Morza Bałtyckiego. Umożliwi też kompleksowe studia nad całym regionem, jego historycznym i obecnym rozwojem politycznym, gospodarczym i kulturalnym. Wreszcie zbuduje platformę wymiany myśli i doświadczeń w kontekście integracji europejskiej i współpracy regionalnej. Projekt zapewnia również szkolenia dla ukraińskiej kadry dydaktycznej w zakresie nowoczesnej metodologii nauczania oraz pomaga w modernizacji środowiska dydaktycznego.

BBSR Rethinking Regional Studies: The Baltic-Black Sea Connection

Jaki jest udział naszego Wydziału w tym projekcie?

Nasz Wydział bierze oczywiście udział w realizacji każdego etapu tego projektu. Odpowiadamy jednak przede wszystkim za budowę sylabusów dla nowych przedmiotów, w tym głównie związanych z regionem Morza Bałtyckiego. Po opracowaniu propozycji spotkaliśmy się z ukraińskimi partnerami i w ramach warsztatów wypracowywaliśmy programy nauczania. Warto wspomnieć, że we wrześniu 2018 r. gościliśmy w Poznaniu kilkunastu wykładowców z uczelni ukraińskich, dla których zorganizowaliśmy szkolenie z nowoczesnych metod przekazywania wiedzy. Rok później w Poznaniu odbyło się jedno ze spotkań projektowych, podsumowujące dotychczasową aktywność w ramach projektu. Ponadto, również w ramach projektu, prowadziliśmy wykłady dla studentów Uczelni w Odessie.

Skoro już wiemy, że UAM uczestniczy w tym projekcie, to kto jeszcze ma w nim udział? Są jacyś międzynarodowi partnerzy?

Konsorcjum tworzy 8 uniwersytetów: cztery z Unii Europejskiej (Uniwersytet w Lund ze Szwecji, Uniwersytet Witolda Wielkiego z Kowna na Litwie, estoński Uniwersytet w Tartu i UAM) oraz cztery z Ukrainy (Lwowski Uniwersytet Narodowy im. Iwana Franki; Uniwersytet w Mariupolu; Odeski Uniwersytet Narodowy im. Ilji Miecznikowa oraz Kijowski Uniwersytet Narodowy im. Tarasa Szewczenki). Koordynatorem całego projektu jest uczelnia z Estonii.

Projekt jest realizowany od 2017 roku. Czy COVID wpłynął na realizację projektu?

Niestety pandemia wpłynęła na realizację projektu i część z zaplanowanych działań nie będzie mogła być zrealizowana w pierwotnie zaplanowanej formule. Na szczęście uzyskaliśmy kilkumiesięczne przedłużenie realizacji projektu, więc osiągnięcie głównych celów jest niezagrożone. Co do efektów – najważniejszy z nich już został zrealizowany: studia na Ukrainie zostały uruchomione, a pierwszych kilkanaście osób już obroniło prace dyplomowe!

Wspomnieliście, Panowie, że projekt w tym roku się kończy. Czy zamierzacie kontynuować współpracę z partnerami zagranicznymi?

Oczywiście! Z ukraińskimi partnerami aktywnie współpracujemy w innych obszarach programu Erasmus+, zwłaszcza w zakresie mobilności, zarówno studentów, jak i kadry. Z kolei z Uniwersytetem w Tartu złożyliśmy kolejny wniosek o grant międzynarodowy. Przykładów zacieśnionej współpracy jest więcej: publikujemy wspólne artykuły w czasopismach naukowych, organizujemy konferencje i seminaria naukowe. A w tym semestrze, wykładowczyni z Uniwersytetu w Odessie, prof. Olga Brusylovska prowadzi – oczywiście w formule on-line – zajęcie dla studentów naszego wydziału.

Rozmawiała Martyna WOŹNIAK
(marwoz11@st.amu.edu.pl)

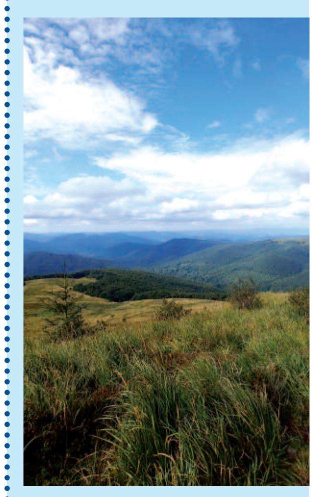


Notre-Dame i projekt jego odbudowy s. 2

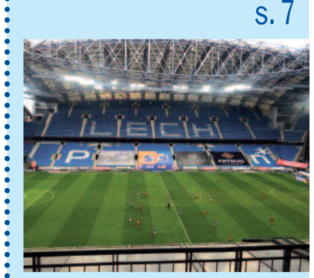
Polecamy



Recenzja płyty Kaśki Sochackiej „Ciche dni" s. 5



Kierunek – Bieszczady s. 7



Co słychać w Lechu Poznań? s. 8

Od redakcji



Kochani Czytelnicy!
Kwiecień to całkiem przyjemny miesiąc dla nas studentów. Zdążyliśmy już zapomnieć o lutowej sesji egzaminacyjnej, a do następnej wciąż daleko. Możemy skoncentrować się na nowych wyzwaniach, mając na uwadze, że zaraz upragniona majówka. Wyczekując zapachu kiełbaski z grilla, przychodzimy do Was ze świeżutkim wydaniem naszego czasopisma. Dlatego, zanim wybierzecie się na majowe wycieczki, zapraszamy do zapoznania się z nowymi tekstami.
Przechodząc do zawartości kwietniowego numeru BUC-a, chyba najlepiej opisze go słowo różnorodność. Na pierwszej stronie znajdziecie wywiad Martyny, która rozmawiała z profesorami z WNPiD na temat projektu BBSR. Klaudia opisała historię Katedry Notre-Dame, której pamiętny pożar miał miejsce właśnie 2 lata temu. Natomiast Darya poczyniła tekst z okazji 60. rocznicy lotu pierwszego człowieka w kosmos. W numerze znajdziecie także garść recenzji, począwszy od książkowej „Lokatorki" przygotowanej przez Karolinę. Dalej znajdziecie recenzję „10 minut i 38 sekund na tym dziwnym świecie" Marty oraz Justyny – „Kryształowe dzieci". Nie zabrakło także muzycznych wątków. Daria napisała tekst o wokalistce Karolinie Czarneckiej, a Wiktor ocenił debiutancki album Kaśki Sochackiej. Natomiast Emilia pożegnała w artykule Krzysztofa Krawczyka. Na szóstej stronie tradycyjnie znajdziecie opowiadanie Krzyśka. Siódma strona należy do Kasi, która we wspomnieniach przeniesie Was w Bieszczady. Odnajdziecie także biografię modelki i aktorki Tildy Swinton przygotowaną przez Anastasiyę. Na koniec coś dla fanów sportu - Ola opisała bieżącą sytuację w Lechu Poznań, a Karolina wzięła na celownik rozgrywki polskich siatkarzy w 2021 roku.
Dziękuję każdemu, kto przyczynił się do powstania numeru. Szczególne podziękowania kieruję w stronę Oli, Ani i Karoliny, które podjęły się przygotowania makiety do niniejszego wydania i tym samym zaliczyły debiut w nowej roli.
Życzę przyjemnej lektury!

Redaktor naczelna
Sylwia Rycharska



Ten miesiąc należy do Mariki Grzech. Oto kilka słów od niej:
Mój plan na idealny dzień? Pisanie tekstów i oglądanie ulubionych seriali z kawą w ręku!

Historia „Naszej Pani"

15 kwietnia mijają 2 lata od pożaru Katedry Notre-Dame w Paryżu. Katedrę z pożaru niestrudzenie ratowało około 400 strażaków. Ogień strawił głównie dach katedry. Za przyczynę pożaru prokuratura uznała wypadek. Możliwość podpalenia jako akt terrorystyczny została wykluczona. Trzy osoby odniosły obrażenia. Pożar ugaszono dzień później około godz. 4:00. Nie udało się uratować dachu świątyni i sygnaturki. Na szczęście ocalały najważniejsze zabytki. Prezydent Francji Emmanuel Macron zadeklarował odbudowę katedry. Liczne osoby prywatne, instytucje i przedsiębiorstwa, także zagraniczne postanowiły wspomóc finansowo odbudowę.



Fot. AFP

Katedra w płomieniach

Powstanie katedry

Katedra Notre-Dame została wzniesiona na wyspie Île de la Cité na Sekwanie, która jest najstarszą częścią Paryża. Stanowiła niegdyś siedzibę pałacu królewskiego, a obecnie Palace de Justice (Pałacu Sprawiedliwości). Inicjatorem i orędownikiem budowy był biskup Paryża, Maurice de Sully, który dokładnie wiedział, gdzie katedra miała zostać wybudowana. W zaplanowanym przez niego miejscu postawione były już inne budowle, w tym m.in. budowle za czasów karolińskich. Mimo tego, Maurice de Sully przedstawił projekt ówczesnemu królowi Francji - Ludwikowi VII, który wyraził aprobatę dla pomysłu biskupa. W 1163 roku rozpoczęto budowę katedry. Podzielono ją na kilka etapów. Pierwszym z nich była budowa prezbiterium z ambitem. W 1182 roku de Sully odprawił pierwszą mszę w nieoddanej jeszcze do użytku katedrze. Niestety sam pomysłodawca zmarł w 1196 roku i nie doczekał końca budowy. Drugim etapem było wzniesienie nawy i fasady, a trzecim budowa wież około 1250 roku. Mimo, iż w XIV w. dokończono prace, to cały czas upiększano Notre-Dame. Łączny czas budowy wyniósł 182 lata.

Gotycka perełka

Notre-Dame jest perełką gotyckiej architektury. Jej budowa przypadła na okres średniowiecza, w którym szczególnie popularnym nurtem architektonicznym był gotyk. Świadczy o tym wprowadzenie w katedrze takich rozwiązań jak: sklepienie krzyżowo- żebrowe, pięć naw, arkady i empory, ambit, portale, rozeta, witraże, rzeźby i reliefy. Kompozycja budynku jest kwadratem symbolizującym przestrzeń ograniczoną oraz okręgiem, który ma na celu skierowanie uwagi wiernych w kierunku nieskończoności. Maurice de Sully katedrę poświęcił Maryi Pannie. Notre-Dame z francuskiego oznacza dosłownie 'Naszą Panią'. W Polsce raczej podaje się nazwę „Najświętszej Maryi Panny". Katedra mieszcząca się na Placu Jana Pawła II w Paryżu nie jest jedyną mającą w swojej nazwie „Notre-Dame". Inne świątynie też mają taką nazwę np. Église Notre-Dame de Lorette, która znajduje się pod wezwaniem świętej Marii Loretańskiej.

Przestrzeń sacrum

Katedra zawiera wiele cennych dla chrześcijan relikwii. W skarbcu Notre-Dame znajdują się np. od 1805 roku korona cierniowa, fragmenty krzyża, na którym rzekomo miał umrzeć Chrystus, relikwie gwoździ z jego krzyża czy tunika króla Ludwika IX Świętego, panującego we Francji w latach 1226-1270. Jej wnętrza zawierają liczne dzieła sztuki - rzeźby, obrazy, a nawet 13 tonowy dzwon Emmanuela. Notre-Dame w trakcie swojego istnienia ulegała wielu zniszczeniom. Głównie w czasach rewolucji francuskiej (pod koniec XVIII wieku), kiedy to chciano zniwelować jej sakralny charakter. Zmieniono wtedy nazwę z Notre-Dame na Świątynię Rozumu. Obcięto też głowy 28 posągom w galerii królów. Nawet koronacja Napoleona w katedrze w 1804 roku nie pomogła w próbie przywrócenia jej dawnego religijnego charakteru. Dopiero udało się to pewnemu pisarzowi.

Notre-Dame w popkulturze

Napisana w 1831 roku powieść autorstwa Victora Hugo zakończyła okres profanacji katedry. Jej tytuł w oryginale brzmi „Notre Dame de Paris". Polskie tłumaczenie to „Katedra Najświętszej Marii Panny w Paryżu" lub „Dzwonnik z Notre Dame". Ta druga nazwa została spopularyzowana za sprawą animacji Disneya, która swoją premierę miała w 1996 roku. Powieść Hugo opowiada historię wątku miłosnego archidiakona Klaudiusza Frollo do Cyganki Esmeraldy. To właśnie katedra Notre-Dame jest głównym miejscem akcji. Jest ona opisana jako piękna, ogromna, przerażająca. Przypisano jej moc ochrony, ponieważ jej wrota stały się dla bohaterów azylem. To właśnie moment ukazania światu „Katedry NMP w Paryżu" był odrodzeniem jej świetności. Na bazie powieści Victora Hugo powstał musical- „Notre Dame de Paris" z 1998 roku, w którym w rolę Quasimodo wcielił się kanadyjski piosenkarz - Garou.

Projekt odbudowy

Po pożarze katedry wielu zadeklarowało, że wspomoże katedrę finansowo. Prezydent Emmanuel Macron obiecywał, że katedra zostanie odbudowana w przeciągu 5 lat do czasów Igrzysk Olimpijskich, które będą miały miejsce w 2024 roku w Paryżu. Obecnie jednak nie wypowiada się na temat terminu odbudowy, gdyż już wiadomo, że 5 lat na naprawę Notre-Dame to zdecydowanie za mało. Trzeba ponadto liczyć się z konserwatorem zabytków. W takim razie nie każde budownicze rozwiązanie może zostać zastosowane przy odbudowie. Po pożarze architekci z całego świata po ogłoszeniu konkursu zaczęli prezentować swoje projekty. Według niektórych z nich dach mógłby być sięgającą nieba iglicą, mógłby być przeszklony, być zbudowanym z witraży czy być tzw. szklarnią. Pojawił się także pomysł elektrycznej katedry. Zdecydowano się jednak na klasyczną odbudowę. Teren został wysprzątany i podstawowe prace zostały już wykonane. Największym problemem pozostaje jednak dach. W tym roku poinformowano, że do jego naprawy potrzebne będzie 1000 dębów o określonym wieku i wymiarach. Następnie miałyby one przez 18 miesięcy schnąć, aby można było później podjąć dalsze czynności.

Pożar Notre-Dame poruszył miliony osób na całym świecie. Każdy kiedyś słyszał o tym niezwykle popularnym obiekcie będącym ikoną nie tylko Paryża, ale i całej Francji. Na szczęście nie spłonęła w całości, jednakże jeszcze dużo pozostało, by rewitalizować ją. Istnieje także wielu przeciwników odbudowy katedry, którzy twierdzą, że te pieniądze można by przeznaczyć na inne, ważniejsze cele. Jednak grupa ta jest nieliczna. Pozostaje tylko czekać na dalsze losy odbudowy katedry. Może wkrótce odżyje jak niegdyś.

Klaudia MICHALAK
klamic11@st.amu.edu.pl

Wydawca
Wydział nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, ul Umultowska 89a, pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelny
Sylwia Rycharska
Zastępca redaktora naczelnego
Krzysztof Polasik
Sekretarz redakcji
Wiktoria Wesołek
Numer makietowały
Arabasz, Aleksandra Kłosowska, Karolina Kozłowska

Wydawca numeru
Sylwia Rycharska
Redakcja merytoryczna:
Justyna Furmaniak, Wiktor Pohorecki, Krzysztof Polasik, Sylwia Rycharska
PR i Social Media
Aleksandra Kłosowska, Milena Mrozek, Emilia Szkobodzińska, Wiktoria Wesołek

Redakcja
Anna Arabasz
Daria Bajorek
Darya Burdyka
Anastazja Burnel
Maria Chenczke
Adam Chęciński
Zuzanna Czachorek
Julia Czekalska
Katarzyna Drzewiecka
Justyna Furmaniak
Julia Gawłowska
Paweł Głuszyński
Marta Godurkiewicz
Marika Grzech
Ada Grzeszczyk
Milena Guzik
Darya Haurosh
Bartosz Kabaciński
Julia Kaczmarek
Wiktor Kępiński
Aleksandra Kłosowska
Karina Konys
Filip Kopera
Karolina Kozłowska
Hanna Kułak
Kamil Kwiatkowski
Kacper Lewandowski
Kuba Lipnicki
Maria Lutkowska
Natalia Łaszewska
Klaudia Michalak
Olga Michalska
Stanisław Mrowicki
Milena Mrozek
Marcin Ostrowski
Wiktor Pohorecki
Krzysztof Polasik
Florentyna Rybczyńska
Sylwia Rycharska
Olga Rydzewska
Wiktoria Różak
Michał Rzeźnik
Karolina Sieradzan
Ilona Skrzypczak
Emilia Szkobodzińska
Karina Szymczak
Izabela Tomaszewska
Kacper Tyczewski
Wiktoria Wesołek
Eryk Więsyk
Adrian Wojtasz
Martyna Woźniak

Fotoedytor
Martyna Woźniak
Autor logo
Andrzej Szymczak
Opieka nad redakcją
Red. Lesław Ciesiółka
Skład komputerowy
Tomasz Szukała

60 lat od pierwszego lotu człowieka w kosmos

12 kwietnia 2021 roku przypadła 60. rocznica lotu pierwszego człowieka w kosmos. Wykonał go radziecki kosmonauta Jurij Gagarin na statku – satelicie „Wostok 1". Lot statku kosmicznego z pierwszym kosmonautą na pokładzie zapoczątkował erę kosmicznych osiągnięć.

Możliwość tej wyjątkowej operacji zaczęto omawiać w 1959 roku w Akademii Nauk ZSRR. Do tego czasu Związek Radziecki miał już za sobą kilka udanych prób wystrzeliwania sztucznych satelitów. Zaczęły pojawiać się rozporządzenia rządowe, w których określono zadania przygotowawcze do pierwszego lotu człowieka w przestrzeń kosmiczną.

Prosty chłopiec z prostej rodziny mógł tylko o tym pomarzyć. Jednak w wieku 20 lat zrobił pierwsze pewne kroki w stronę nieba, a już 12 kwietnia 1961 roku na pokładzie rakiety-nośnika „Wostok 1" powiedział on słynne „Pojechały!" i poleciał do gwiazd, dokonawszy tego, co dla większości ludzi zdawało się niemożliwym.

Kosmonautą został, a nie marzył

Malutki Jurij w dzieciństwie nie marzył, aby zostać kosmonautą. Taki zawód jeszcze wtedy nie istniał, a on stał się jego pierwszym przedstawicielem.

Jurij Gagarin urodził się we wsi Kłuszyno koło Gżacka (przemianowanego w 1968 na Gagarin) w obwodzie smoleńskim. Jego ojciec Aleksiej Iwanowicz był stolarzem, matka Anna Timofijewna Gagarin – dojarką w kołchozie. Wkrótce rodzice przeprowadzili się do pobliskiego Gżacka.

W roku 1949 w wieku 15 lat Jurij Gagarin porzucił szkołę średnią na rzecz zawodówki przy fabryce maszyn rolniczych w Lubiercach. Tam szkolił się na odlewnika i zdobył zawód odlewnika-formierza. Pragnąc kształcić się dalej, w roku 1951 zaczął naukę w Szkole Technicznej w Saratowie.

Pierwszy lot

W 1954 r. wstąpił do aeroklubu i rozpoczął naukę pilotażu. 24 sierpnia 1955 roku ukończył kurs w saratowskim aeroklubie. W tym samym roku Jurij, w wieku 21 lat, skończył szkołę z najwyższą oceną i rozpoczął naukę w Wojskowej Szkole Lotniczej w Orenburgu.

3 marca 1960 roku Gagarin został zaliczony do grupy kandydatów, a 25 marca rozpoczęły się regularne zajęcia z programu przygotowania kosmonautów. Latem 1960 roku z grupy 20 kandydatów wyznaczono 6 osób, które przeszły ogólnokosmiczne przygotowanie. Kto dokładnie poleci w kosmos, zostało wyznaczone w ostatniej chwili. 8 kwietnia 1961 roku na zamkniętym posiedzeniu Państwowa Komisja zdecydowała, że to Jurij Gagarin jako pierwszy wyruszy w kosmos na statku „Wostok".

12 kwietnia 1961 roku o godzinie 6:07 (9:07 w Moskwie) Jurij Gagarin wystartował z kosmodromu Bajkonur w Kazachstanie w pierwszym locie człowieka w przestrzeń kosmiczną. Na orbicie Gagarin robił proste rzeczy: pił, jadł, robił notatki ołówkiem, nagrywał odczucia i obserwacje na magnetofon. Dokonał niepełnego okrążenia Ziemi po orbicie satelitarnej, trwającego 1 godzinę i 48 minut.

Po locie

Pierwszy lot człowieka w kosmos wysadził przestrzeń informacyjną świata. Gagarin stał się światową gwiazdą. Prowadził aktywne życie społeczne i polityczne. Był członkiem Rady Najwyższej ZSRR, członkiem Komitetu Centralnego WLKSM, prezesem Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Kubańskiej, honorowym członkiem Międzynarodowej Akademii Astronautyki, honorowym członkiem Towarzystwa „Finlandia – ZSRR", kierował niezależnym oddziałem kosmonautyki gazety „Czerwona Gwiazda". Pierwszy kosmonauta bardzo często był zapraszany na różne spotkania, do programów telewizyjnych oraz na lekcje z uczniami.

Po fantastycznym locie i triumfalnych wizytach w różnych krajach Gagarin stał się legendą. Przywódcy kraju bali się go stracić i zabroniono mu więcej latać. Jednak Jurij pozostał lotnikiem i dalej marzył o swojej pracy – latać: latać w kosmos, po prostu latać.

Gagarin nie miał prawa samodzielnie latać myśliwcem, chociaż był zastępcą kierownika CPC po lotnym przygotowaniu. Domagał się również pozwolenia na wznowienie kwalifikacji jako lotnik-myśliwiec.

Pierwszy, samodzielny lot po przerwie na MiG-17 Gagarin odbył na początku grudnia 1967 roku i wylądował dopiero po raz drugi w swoim życiu.

Pamięć

27 marca 1968 Gagarin oraz jego instruktor lotniczy Władimir Sieriogin zginęli w katastrofie lotniczej. Samolot treningowy MiG-15 UTI rozbił się 21 km od miasta Kirżacz w Rosji.

8 kwietnia 2011 roku Rosyjska Agencja Kosmiczna ogłosiła, że za katastrofę najprawdopodobniej odpowiedzialny był sam Gagarin. Wtedy na podstawie odtajnionych dokumentów komisji badającej wypadek poinformowano, że spowodował go manewr wykonany przez pilota.

W sierpniu 2013 podano jednak inną, prawdopodobną przyczynę katastrofy, w której zginął Gagarin. Aleksiej Leonow, który przebywał w pobliżu katastrofy, po latach ujawnił okoliczności wypadku. Według jego opisu pilot samolotu Su-15 odbywający lot testowy na wysokości 10 000 metrów zszedł na niższy pułap wbrew procedurze lotu. W wyniku zachmurzenia nie widział samolotu Gagarina i przeleciał niebezpiecznie blisko niego. Prawdopodobnie minął MiG-a o 10-15 metrów. W wyniku tego maszyna, którą pilotował Gagarin, zaczęła obracać się wokół własnej osi, wpadła w korkociąg przy prędkości 750 km na godzinę i w efekcie runęła na ziemię.


pixabay.com

Pierwszy w kosmosie

Oprócz dawnego miasta Gżatsk imię Jurija Gagarina noszą: krater Gagarin na Księżycu, planetoida, złoty medal FAI (Międzynarodowej Federacji Lotniczej), statek naukowo-badawczy Kosmonauta Jurij Gagarin oraz puchar hokejowy (albowiem Gagarin kibicował hokeistom). Na cześć kosmonauty nazywano także ulice (jak np. w Warszawie), parki, kluby, szkoły i place – np. plac w Moskwie z 40-metrowym pomnikiem pierwszego kosmonauty.

Dodatkowo 12 kwietnia 1962 roku dzień lotu Gagarina do kosmosu został ogłoszony świętem – Dniem Kosmonautyki.

Darya BURDYKA
darbur3@st.amu.edu.pl

A ty, do czego jesteś w stanie się posunąć, by osiągnąć swój cel?

Recenzja książki „Lokatorka"

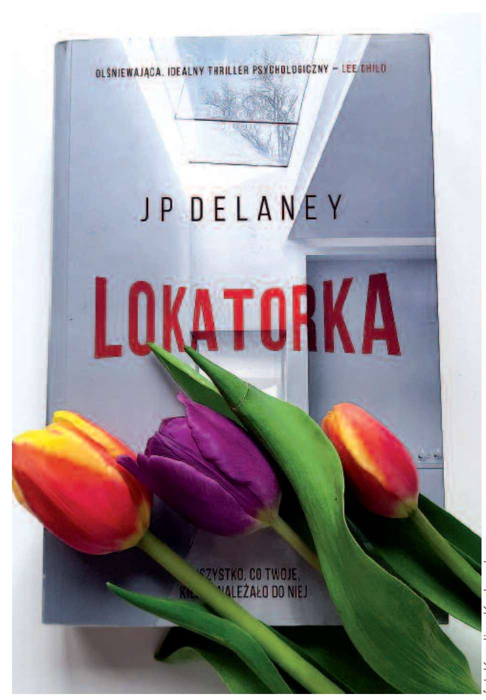
Każdy z nas posiada jakieś granice, których nie jest w stanie przekroczyć. Jednak, czy w sytuacji kryzysowej możemy przewidzieć, jak się zachowamy? Chcąc poznać siebie samego, jak również swoich najbliższych, musimy znaleźć się w okolicznościach, które powodują, że nie widzimy żadnego rozwiązania. Dzięki temu będziemy w stanie poznać nasze granice. Powieści kryminalne pokazują nam, jak mylne odczucia posiadamy wobec otaczającego nas świata.

Książka „Lokatorka", której autorem jest pisarz powieści ¬¬ – Anthony Capella, niewątpliwie stała się jednym z topowych thrillerów psychologicznych. Po raz pierwszy książka została wydana w 2016 r. Zdobyła ona ogromną popularność i nadal zyskuje coraz to więcej nowych czytelników. Podczas lektury poznajemy historię dwóch kobiet, które fizycznie są do siebie bardzo podobne. Mimo że nigdy nie miały możliwości poznania się w rzeczywistości, po wprowadzeniu się do Folgate Street 1 ich historie zaczynają być zbliżone. Czy jednak obie zakończą się w ten sam sposób? Co kryje się za perfekcjonizmem, który reprezentuje właściciel mieszkania? Książka z pewnością zaciekawi każdego, kto gustuje w thrillerach oraz mrocznych historiach. Już od pierwszych stron możemy zauważyć tajemniczość przedstawionej historii.

Ciągłe zmiany i chęć rozpoczęcia życia od nowa

Historie tych kobiet zbiegły się po traumatycznym wydarzeniu. Wpłynęło to na nie tak mocno, że postanowiły zmienić swoje życie i zacząć wszystko od początku. Miały dosyć stylu, jaki dotychczas prowadziły i chciały odciąć się od wszystkiego, co mogło negatywnie rzutować na ich przyszłość. Nawet wyrzeczenia, na które musiały się zdobyć, nie zatrzymały ich przed tą wewnętrzną zmianą. Niestety, chcąc rozpocząć „nowe życie", nie zauważyły, że dogania je przeszłość. Chęci nie zawsze powodują, że nasza metamorfoza zakończy się powodzeniem.

Poznanie idealnego mężczyzny. Zauroczenie od pierwszego wejrzenia. Wymarzone życie ze swoim wybrankiem. Czy wszystko może być tak idealne, jak się wydaje? Jego przeszłość oraz wymagania mogą stać się olbrzymią przeszkodą w znalezieniu spokoju. Chęć rozwikłania zagadek przez obie kobiety powoduje, że nie mogą zaznać relaksu w swoim nowym, perfekcyjnym życiu. Dążenie do perfekcji nie jest dla każdego. Czasami człowiek podświadomie woli po prostu żyć w zgodzie ze samym sobą. Niewątpliwie ciągłe wymagania oraz kontrolowanie przez właściciela domu nie pomagają w odzyskaniu równowagi po dotychczasowych przeżyciach.



fot. Karolina Kozłowska

Okładka książki

Rozwiązanie tajemnicy, które może uchronić przed tragedią

Emma i Jane. Dwie kobiety mieszkające po sobie w jednym domu, są zauroczone w tym samym olśniewającym mężczyźnie. Czy ich losy zakończą się tak samo? Czy może jednak Jane uda się odmienić swój los i zatrzymać schemat, który w nim się powtarza? Wykazując się odwagą oraz dobrym połączeniem faktów, może uda się jej powstrzymać osobę, która zrobi wszystko, by posiadać kobietę niewątpliwie podobną do Emmy. Obie zakochały się w nowoczesności, która charakteryzowała mieszkanie, w którym żyły. Należy zastanowić się jednak nad jednym pytaniem. Czy było ono bezpieczne? Technologia otaczająca nas zewsząd, może obrócić się przeciwko nam. Wystarczy przecież orientować się w temacie, by namieszać w urządzeniach. Myśląc, że przyśpieszamy rozwój, zastępując stare rozwiązania technologią, możemy narazić najbliższe osoby na niebezpieczeństwo. Wspaniałe mieszkanie może okazać się wyjątkowo zgubne dla osób tam mieszkających.

Książka wywarła na mnie ogromne wrażenie, czego dowodem jest to, że pochłonęłam ją w jeden dzień. Choć na początku w mojej głowie pojawiło się wiele pytań, wraz z rozwojem akcji znalazłam na nie odpowiedź. Jest to niewątpliwie zaleta powieści, która trzyma w napięciu aż do ostatniej strony. W tym przypadku nie można mówić o monotonii, ponieważ wraz z kolejnymi kartkami pojawiają się nowe aspekty, które nie pozwalają rozwiązać sprawy już na początku. Powodują one jedynie, że historia staje się bardziej zawiła, niż może nam się wydawać po pierwszych zapiskach. Ponadto wraz z kolejnymi wydarzeniami każdy bohater staje się coraz bardziej podejrzany. Dzięki niej uświadamiamy sobie, że osoby, które znajdują się najbliżej nas, nie muszą być wcale takie, jak nam się wydaje. Mimo że je znamy, nie wiemy, jak się zachowają w kryzysowej sytuacji. Książka z pewnością zachęciła mnie do bliższego zapoznania się z kolejnymi tytułami autora. Najnowsza publikacja Anthoniego Capelli pt. „W błogiej nieświadomości" pojawiła się w styczniu tego roku i z pewnością znajdzie się w mojej kolekcji.

Karolina KOZŁOWSKA
karkoz10@st.amu.edu.pl

Zatrzęsła się w posadach polska muzyka – pożegnanie Krzysztofa Krawczyka

Jedni mówili o nim jako o królu polskiej estrady, drudzy okrzyknęli go legendą za życia, trzeci zaś dziwili się nad fenomenem jego popularności, mimo zmieniających się pokoleń. Niezależnie od opinii, jedno jest pewne – Polacy kochali Krzysztofa Krawczyka. Artysta zmarł 5 kwietnia 2021 r. w drugi dzień Świąt Wielkanocnych, zamykając tym samym pewien etap w historii polskiej muzyki.

Życie Krzysztofa Krawczyka od najmłodszych lat było związane z muzyką. Urodzony w Katowicach chłopiec był synem aktora i śpiewaczki operowej. Za sprawą pracy rodziców, często zmieniał miejsce zamieszkania. Po wielu latach ciągłych przeprowadzek rodzina osiadła w Łodzi, gdzie młody Krzyś (jak zwykła go nazywać matka) uczęszczał do klasy muzycznej, mimo to na gitarze nauczył się grać samodzielnie. W wieku zaledwie siedemnastu lat założył, wraz z grupą przyjaciół, zespół „Trubadurzy", do którego w przyszłości będzie niejednokrotnie wracał. Grupa, obok Czerwonych Gitar, była jednym z najbardziej popularnych polskich zespołów bigbitowych łączących elementy rocka z polską muzyką ludową. W latach 70. rozpoczął karierę solową, a już w 1975 ukazał się znany przez wszystkich, uwielbiany utwór pt. „Parostatek". Zmęczony cenzurowaniem jego twórczości w polskich mediach, w 1979 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie przez kolejne lata koncertował m.in. po klubach w Chicago, Las Vegas i Indianapolis. Mimo to, los nie okazał się mu przychylny. Niestety skromne wynagrodzenie nie wystarczyło na codzienne wydatki. Oprócz tego dorabiał, pracując m.in. jako taksówkarz, barman, czy robotnik fizyczny – układał dachówki i budował drewniane schody. Po powrocie do Polski w 1988 r., jak sam mówił, dostał kolejną lekcję życia, ponieważ uległ wypadkowi samochodowemu, w którym odniósł poważne obrażenia m.in. miał pękniętą żuchwę, uszkodzone kości policzkowe, złamaną szczękę, konieczna zatem była operacja twarzy. Rok później w Obornikach zagrał pierwszy koncert po nieszczęśliwym wypadku. Na estradę wszedł o lasce, lecz z uśmiechem na ustach powitał wiwatujący tłum. Podczas swojej kariery otrzymał około osiemdziesięciu ważnych nagród i wyróżnień muzycznych. Publiczność kochała go za piosenki, które łączyły pokolenia i pozwalały poczuć ducha prawdziwej polskości, nie tylko w granicach komunistycznej Polski, ale także ludziom żyjącym na emigracji w najdalszych zakątkach świata. W 2004 Krzysztof Krawczyk został odznaczony za całokształt swojej twórczości przez Prezydenta RP, Aleksandra Kwaśniewskiego, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a także wraz z pozostałymi członkami zespołu Trubadurzy, Złotym Krzyżem Zasługi. Co więcej w listopadzie 2010 r. ukazała się jego książka autobiograficzna pt. Życie jak wino, którą napisał wspólnie z Andrzejem Kosmalą, a w 2020 r. został wyemitowany film pt. „Krzysztof Krawczyk – całe moje życie", opowiadający historię życia piosenkarza.

„Wszedłem niewierzący, wyszedłem wierzący"

Krzysztof Krawczyk pochodził z tradycyjnej katolickiej rodziny, został ochrzczony w Kościele Mariackim w Katowicach. Śmierć ojca i ciężar obowiązku żywiciela rodziny doprowadziły go do utraty wiary w chrześcijańskiego Boga. W latach 70. był mężem Grażyny Adamus i Haliny Żytkowiak, z którą miał syna, Krzysztofa. Krawczyk w dawnych latach, uległ sławie i rock'n'rollowemu trybowi życia. Nie stronił od kobiet, wystawnych imprez, alkoholu, a nawet narkotyków. Po latach ostrzegał, że „narkotyki są różowymi okularami tylko na chwilę. Kiedy spadają, jest to bardzo bolesne". Wybawieniem od nałogów miało okazać się spotkanie z trzecią żoną. W 1982 r. poznał swoją przyszłą miłość, Ewę Trelko, za której namową udał się na mszę do kościoła w Chicago i przeżył swoje nawrócenie. Zamieszkał w Grotnikach pod Łodzią. Wraz z ukochaną adoptował trzy córki. Krawczyk związany był szczególnie z osoba papieża Polaka. Podczas wizyty Jana Pawła II na Jasnej Górze wręczył głowie kościoła katolickiego płytę Ave Maria oraz kilka innych albumów i kaset. Pod koniec kwietnia 2011 wydał album pt. „JP II. Abba Ojcze", który nagrał z okazji beatyfikacji Jana Pawła II. Artysta wielokrotnie podkreślał wartość religii w swoim życiu. Opowiadał publicznie o swojej przemianie, dając przykład żywej wiary swoim licznym słuchaczom.

Czy młodzi znają Krawczyka?

„Odszedł Krzysztof Krawczyk. Młodzi może lekceważą taką muzykę ,albo nawet nie znają, ale nie ma wątpliwości, że jakiś rozdział w polskiej muzyce i rozrywce się zamknął. Z pewnością był Postacią. Tacy Artyści odchodzą, ale nie umierają.

Żyją w swojej twórczości. RiP"

Po przytoczonym wyżej wpisie na Twetterze pana prezydenta Andrzeja Dudy w polskim internecie zawrzało. Młodzi ludzie podnieśli sprzeciw przeciwko treści niezwykle nietaktownych kondolenci głowy państwa. Wpis ten rzeczywiście może dziwić, bo Krawczyk był postacią ponadczasową – popularną zarówno wśród dwudziestolatków, jak i ich dziadków. Nie da się zaprzeczyć, że jego utwory przeżywały w ostatnich latach drugą młodość. Hitami stały się remixy szlagierów legendarnego wokalisty, przede wszystkim „Parostatku" i „Chciałem być", które podobnie jak oryginalne wersje utworów, trafiły na szczyty list przebojów. Niezwykły charakter Krawczyka udzielał się zresztą w tekstach utworów, do których nawiązywali twórcy „młodego pokolenia". Ci chętnie rapowali o Krawczyku, a nawet wykorzystywali jego utwory do samplowania. Twórca projektu Unitra Studio X, który dokonał wybitnej, chwalonej przez samego Krawczyka, przeróbki utworu „Chciałem być" w wywiadzie dla portalu Vice mówił wprost:

„Zawsze ze znajomymi mówiliśmy, że jest prekursorem tzw. gangstapopu. Te teksty i ta jego stylówa, to jest właśnie to. Powiedziałbym nawet, że „Chciałem być" jest taki trochę hiphopowy. Te wersy o taliach kart czy skasowanych brykach, to jest hip-hop".

Najlepszym potwierdzeniem słów młodych fanów jest sytuacja, która miała miejsce 24 maja 2018 roku. Podczas juwenaliów w Poznaniu udało się pobić rekord Polski na najwięcej osób śpiewających piosenkę rozrywkową jednocześnie – był to właśnie utwór Krawczyka „Chciałem być". Stanowi to niezaprzeczalny dowód na to, iż muzyka ta poruszała serca ludzi każdego pokolenia.

Ostatni „piękny rejs"

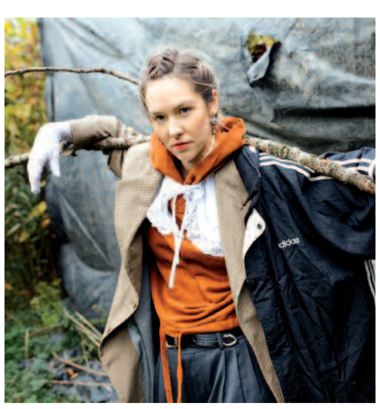
W drugi dzień Wielkanocy Andrzej Kosmala, wieloletni manager Krzysztofa Krawczyka, poinformował o śmierci artysty. Mimo wcześniejszego zaszczepienia przeciwko COVID-19, choroby serca dały o sobie znać – twierdzą lekarze łódzkiego szpitala. Według ostatniej woli króla polskiej estrady, do jego trumny został włożony mikrofon, a także czarne okulary, w których występował na scenie. Uroczystości pogrzebowe Krzysztofa Krawczyka rozpoczęły się w południe w archikatedrze w Łodzi. Wokalistę oprócz rodziny żegnali jego przyjaciele, znajomi oraz przedstawiciele władz państwowych i lokalnych. Ze względu na pandemię w uroczystościach wewnątrz świątyni mogło wziąć udział tylko 75 osób, ale na zewnątrz zgromadziły się setki wielbicieli twórczości artysty. Przed mszą z archikatedry wybrzmiał „Parostatek" zagrany na trąbce. Przy trumnie zmarłego artysty ustawiona została warta honorowa. Przy wyprowadzeniu trumny z archikatedry setki fanów Krzysztofa Krawczyka żegnały wokalistę brawami. Tym samym dziękując za to, iż jego muzyka towarzyszyła Polakom przez ponad pięć dekad w najróżniejszych momentach ich życia.

Emilia SZKOBODZIŃSKA
emiszk1@st.amu.edu.pl

„Hera, koka, hasz, LSD" zamienia się w „Cud"

Zapewne każdy polski użytkownik internetu zna hit 35. Przeglądu Piosenki Aktorskiej (PPA) pt. „Hera, koka, hasz, LSD". Jego wykonawczyni, Karolina Czarnecka, przeglądu nie wygrała, ale długo gościła na ustach młodego pokolenia – w ciągu tygodnia od opublikowania jej występu w internecie, wideo obejrzało 1,5 miliona osób. Co zmieniło się w twórczości piosenkarki od 2014 roku i występu we Wrocławiu?

Jeszcze przed 35. PPA została laureatką nagrody specjalnej 17. Ogólnopolskiego Konkursu Wokalnego „Pamiętajmy o Osieckiej". Wykonanie z 2014 roku, które uczyniło ją rozpoznawalną, było interpretacją utworu „Heroin and Cocaine" zespołu The Tiger Lillies. Entuzjastyczny odbiór piosenki doprowadził do utworzenia zbiórki, która zgromadziła 36 tysięcy złotych i sfinansowała teledysk do popularnego utworu Czarneckiej.



facebook.com/KarolinaCzarneckaOfficial; fot. Kuba Dąbrowski

Karolina Czarnecka w obiektywie Kuby Dąbrowskiego

Od haszu do folkrapu

Większość hitów internetu i virali odchodzi w końcu w zapomnienie razem z ich twórcami. Nie przydarzyło się to jednak Karolinie Czarneckiej, która obecnie ma już na koncie 3 albumy. „Córka" z 2014 oraz „Cud" z 2019 to folkrapowe albumy solowe, natomiast „Solarium 2.0" z 2018 powstał w kolaboracji ze składem UV. Piosenkarka była częścią warszawskiej grupy teatralno-kabaretowej Pożar w Burdelu, dzięki której narodził się zespół Żelazne Waginy z twórczością odnoszącą się do idei feministycznych. Wykształcenie teatralne u wokalistki można nawet usłyszeć - ma doskonałą dykcję, przez co żadne słowo nie może nam umknąć. Po wydaniu „Solarium 2.0", jedna z najbardziej znanych polskich wytwórni muzycznych Kayax (reprezentująca m.in. Brodkę, Darię Zawiałow) zainteresowała się Czarnecką, a krążek „Cud" powstał już pod jej szyldem.

Debiutancki album

Ostatnią rzeczą jaką można o wokalistce powiedzieć, jest to, że zasłynęła tylko jednym występem. „Hera, koka, hasz, LSD" przyniosło jej niespodziewaną sławę, co Czarnecka doskonale wykorzystała – w końcu „Córka" ukazała się tylko kilka miesięcy po 35. PPA. Na szczególne, w mojej opinii, uznanie zasługują przede wszystkim utwory „Zjawa" i „Demakijaż". „Rusałki, czarownice, syreny, upiorzyce odłóżcie różańce zacznijcie swe dzikie tańce" to fragment „Zjawy" wskazujący na inspirację Czarneckiej mitologią słowiańską, a całość tekstu piosenki kojarzy mi się wręcz z balladą Mickiewicza „Świtezianka". W tekście „Demakijażu" natomiast widać liryczność, piosenka jest spokojniejsza, bogatsza w metafory i porównania - Czarnecka jest delikatna i mocna w tym samym momencie.

Istny „Cud"

Utwór „Hera, koka, hasz, LSD" był odbierany jako trochę prześmiewczy, którego nie należy brać na poważnie, ale późniejszej twórczości Czarneckiej nie można odmówić trafności, inteligentnych porównań i spostrzeżeń. Single „Módl się za nami" i „Pielgrzymka" są chyba jej najpopularniejszymi obecnie utworami. „Zawsze chciałam tym chłopakom udowodnić, że choć nie mam czegoś w kroku, jestem nawet lepsza od nich" - Czarnecka uderza w kwestie feministyczne, a „Módl się za nami" brzmi jak hymn wszystkich dziewczyn, które „zawsze się lubiły bawić z chłopakami". W „Pielgrzymce" w nietypowy sposób odnosi się do swojej rozpoznawalności: „Imię Hera, Koka nazwisko, Hasz uzależnienie, a Kwas to przezwisko", rapuje na temat współczesnego społeczeństwa polskiego, wspomina m.in. 500+, władzę, pijaństwo, podkreślając, że na hejt będzie nadal odpowiadać folkrapem. Natomiast moim osobistym faworytem z „Cudu" jest utwór „Trzydzieści", gdzie Czarnecka podkreśla swój indywidualizm i bezkompromisowość – „nie będę tą, którą byś chciałbym była, będę obiecana, w myślach wyuzdana, a na końcu będę niczyja".

Karolina Czarnecka jest jednym z mocniejszych kobiecych głosów na polskiej scenie muzycznej. Pisze inteligentne teksty, nie boi się używać przekleństw i mocnych słów oraz szczerze komunikować tego co czuje i obserwuje we współczesnym świecie. Nie znam innych polskich artystów, którzy potrafiliby połączyć folk, rap i muzykę elektroniczną w tak niecodzienny i dobry sposób. Jeśli szukacie więc interesujących odkryć muzycznych - szczerze polecam twórczość Karoliny Czarneckiej.

Daria BAJOREK
darbaj@st.amu.edu.pl

Podróż przez smutek i melancholię

Kaśka Sochacka przebyła długą drogę do wydania swojego debiutanckiego albumu. Finalistka programu „Mam Talent" z 2010 i półfinalistka „Must Be The Music" z 2014 roku sama przyznaje, że bez jej uporu i cierpliwości nigdy by do tego nie doszło. Na szczęście jednak pierwsza płyta wokalistki z Pradeł w końcu powstała i już teraz mogę stwierdzić, że „Ciche dni" będą jednym z najciekawszych oraz najważniejszych debiutów tego roku.

Prawie jedenaście lat, jakie minęły od pierwszego pojawienia się Sochackiej na muzycznej scenie, to olbrzymi dystans. Dla porównania Kamil Bednarek, również finalista Mam Talent z 2010 roku, od tamtego czasu zdążył nagrać trzy płyty i zadomowić się w świadomości przeciętnego polskiego słuchacza. Chociaż Sochacka nie zrobiła tak błyskawicznej kariery, a wręcz momentami była bliska porzucenia muzycznej ścieżki, to nieustępliwość zaprowadziła ją do miejsca, z którego może stać się jedną z najważniejszych polskich piosenkarek najbliższych lat.

Własny styl

Do wokalistki w pewien sposób przylgnęło określenie „damskiego wcielenia Korteza". Nie bez przypadku zresztą, bo drogi tych artystów są dość mocno splecione, między innymi przez wspólną trasę koncertową czy tworzenie duetu w utworach. Przy recenzowanej płycie pomagali również Olek Świerkot i Agata Trafalska - osoby współpracujące z Kortezem. Przede wszystkim jednak możemy odczuć sporo podobnych muzycznych klimatów na „Cichych dniach". Moim pierwszym skojarzeniem po przesłuchaniu płyty był właśnie Kortez. Trzeba jednak zwrócić uwagę i oddać Sochackiej, że jest to tylko inspiracja. Piosenkarka bowiem wytycza własną ścieżkę i buduje własny wizerunek, co wychodzi jej zdecydowanie na dobre.

A jak on właściwie wygląda? „Ciche dni" to bardzo melancholijna płyta. Nie znajdziecie tu wielu radosnych utworów, bo nie taka jest natura Kaśki Sochackiej. Sama siebie określa mianem fatalistki i treściowo album jest tego odbiciem. Instrumentalnie płyta nie zawsze jest smutna, a po prostu spokojna. Co najbardziej zachwyca w tej materii, to zgrabne połączenie różnych elementów w dobrze brzmiące całości na poszczególnych utworach, które z kolei nie zlewają się w jedno. Każda piosenka ma tutaj swój odrębny charakter.

Muzyczny zmysł

Od otwierającej album „Wiśni" słyszymy, jak sprawnie Sochacka potrafi łączyć ze sobą instrumenty, przeplatając w pewnym momencie pianino, skrzypce i delikatną elektronikę. Tytułowe „Ciche dni" natomiast to przejście z gitary akustycznej do wyrazistego basu i ciekawych elementów elektroniki, a na płycie pojawiają się także trąbki („Z soboty na niedzielę") czy ukulele („Balkon"). Nie są to połączenia odkrywcze i nowatorskie, ale są na tyle dobrze zaimplementowane, że można czerpać sporą przyjemność z samego ich śledzenia.

Sochacka nie boi się zmian tempa, które potrafią dodać dużo kolorytu niektórym piosenkom, jak ma to miejsce w „Znowu jestem w punkcie, który dawno temu już minęłam". Rzadziej natomiast pojawia się zmiana tonu głosu, co niekoniecznie jest wadą. Niski głos wokalistki jest absolutnie wspaniały i nadaje płycie odpowiedniego nastroju. Gdy jednak próbuje śpiewać wyżej, to efekt nie jest tak zachwycający, o czym przekonujemy się w „Spędź ze mną trochę czasu jeszcze".

Co do samego wokalu, to dźwiga on na swoich barkach olbrzymią część emocjonalnego charakteru płyty. A ten jest niezwykle ważny. „Ciche dni" kipią od emocji, które jednak nie są okraszone zbędnym patosem i tyczy się to zarówno śpiewu, jak i warstwy instrumentalnej. Sochacka pokazuje, jak można wywołać w słuchaczu wzruszenie i smutek, jednocześnie nie robiąc tego na siłę i z egzaltacją. Budzi to skojarzenia z takimi zespołami jak Daughter czy Cigarettes After Sex, do których muzycznie także polskiej wokalistce jest blisko.

Subtelność i wyczucie

Album najpełniej rozwija skrzydła w warstwie lirycznej. Znowu sprawdza się tutaj wymieniona wcześniej kwestia, mianowicie brak niepotrzebnego nadęcia czy pompatyczności. Zamiast tego na każdym z dziesięciu utworów dostajemy raczej zwykłe, codzienne problemy, opowiedziane jednak w poruszający sposób. Nie wszyscy potrafią śpiewać o ważnych sprawach bez pretensjonalności, a to udaje się Sochackiej w wielkim stylu.

To w słowach „Ciche dni" są najbardziej dołujące i smutne. Trzonem płyty są nieszczęśliwe (choć nie zawsze) miłości, strach, niepewność lub tęsknota. Wszystko oddane w przemyślanych metaforach i zgrabnych sformułowaniach, które nie budzą wrażenia sztuczności. Każda z piosenek ma w sobie coś wyjątkowego, co czyni album naprawdę równym. Moim zdaniem jednak umiejętności pisarskie Sochackiej najpełniej uwidaczniają się w „Z soboty na niedzielę", „Boję się o Ciebie" czy „Wiśni".

Warto tutaj wspomnieć także o gościach, bo nie są oni byle jacy. Pojawia się tutaj bowiem Kortez (co nie powinno zaskakiwać), Vito Bambino i Dawid Podsiadło. Mam jednak spory niedosyt co do ich występu, bo pojawienie się jednych z największych nazwisk w polskiej muzyce nie wnosi tak dużo, jak można by się było spodziewać. Owszem, Kortez i Sochacka uzupełniają się świetnie w „Dla mnie to już koniec", Vito Bambino trzyma poziom w „Boję się o Ciebie", a Podsiadło nuci sobie nastrojowo w tle w „Cichych dniach", ale nie zmienia to faktu, że czuć tu niewykorzystany potencjał.

Początek drogi

Po długiej i krętej drodze Kaśka Sochacka melduje się na scenie muzycznej w pełnoprawny sposób i trudno sobie wyobrazić, by po tak dobrym debiucie miała nie iść już tylko do przodu. Wydaje się, że ten pierwszy, najtrudniejszy krok został wykonany i „Ciche dni" mogą być punktem szczególnym dla jej kariery. Bez wątpienia posiada talent i zapał do pracy. Poprzeczkę na przyszłość stawia sobie wysoko, bo choć album nie jest perfekcyjny, to jednak melancholijna podróż zaproponowana przez wokalistkę porywa bez reszty. Obyśmy na drugą płytę Sochackiej nie musieli czekać tak długo.

Ocena: 8,5/10

Wiktor KĘPIŃSKI
wikkep@st.amu.edu.pl

Egzotyka i przygoda życia, czyli „10 minut i 38 sekund na tym dziwnym świecie"

Nie raz sięgałam po książki, w których motywy życia i śmierci, przyjaźni czy miłości ukazywano na tle rozmaitych wątków kulturowych. Jednak „10 minut i 38 sekund na tym dziwnym świecie" Elif Shafak to coś więcej niż kolejna, sztampowa powieść o wartościach, zdeterminowanych przez ludzką obyczajowość. Książka, podzielona na części, tworzy umiejętnie skomponowaną całość. W efekcie powstaje barwna historia o oryginalnych i autentycznych w swym sposobie bycia postaciach, które już w dzieciństwie rozumiały świat lepiej niż niejeden dorosły i zmierzały do osiągnięcia niezależności

.

Koniec, który staje się początkiem

Choć na zewnątrz już martwa, w głębi wciąż tli się w niej życie. Właśnie z takiej perspektywy poznajemy główną bohaterkę książki – Leilę. Kiedy ciało przekracza granicę śmierci, mózg nadal pracuje i rejestruje szereg myśli. Tytuł jest więc bezpośrednim nawiązaniem do tego, co stanowi główny koncept lektury. Bohaterka ma dokładnie 10 minut i 38 sekund, aby podsumować swoje życie i przywołać najważniejsze wspomnienia. Każde z nich, choć kojarzone z innym smakiem lub zapachem, tworzy spójną opowieść. W ten sposób historia zaczyna się od nowa, a czytelnikowi przybliżane są losy dziewczyny od czasów niemowlęcych aż do momentu jej śmierci.

Leila wychowała się w jednym z tureckich miast. Jej młodość przesiąkła patriarchalnym porządkiem, w którym zaakcentowano posłuszeństwo kobiet wobec narodu, religii i płci przeciwnej. Jednak w związku z narastającym poczuciem zagubienia i osiągnięciem umysłowej dojrzałości, dziewczyna patrzy na siebie i swoją rodzinę z dystansem. Ten mentalny krok powoduje, że dostrzega ona zakłamanie i pozornie nieskazitelny wizerunek bliskich, na gruncie którego nie chce budować własnej przyszłości. Dokonując wyboru, Leila opuszcza rodzinne strony i w Stambule rozpoczyna nowy rozdział, podyktowany koniecznością życia w zgodzie ze sobą i własnym sumieniem. To jednak nie wszystko, czym autorka postanowiła uraczyć czytelnika w swojej powieści.

Wielobarwna mozaika charakterów

Po ponad połowie książki następuje pewien zwrot akcji, w wyniku którego widzimy jak pięcioro bohaterów pokonuje szereg przeciwności, chcąc zadbać o godny pochówek i należne pożegnanie z ukochaną przyjaciółką. Dla nich nagła śmierć Leili jest potwierdzeniem myśli, że o ile życie nie traktuje ludzi równo, tak śmierć wcale nie jest czymś lepszym. Od tego momentu konstrukcja powieści staje się nierówna i chwilami traci na swojej jakości, zwłaszcza na skutek przeciętnych dialogów, całkiem banalnego zakończenia i urwania pewnych wątków. Grupa przyjaciół, mimo, że niekonwencjonalna, dokonuje absurdalnych odkryć, podejmuje nieracjonalne decyzje i wprowadza niemały zamęt w fabule, naruszając tym samym jej dotychczasowy przebieg. Należy jednak docenić Shafak za ukazanie przyjaźni jako siły jednoczącej, posługując się przy tym nad wyraz inteligentnym humorem. Przy okazji zawarła ona mądre spostrzeżenia na temat więzów rodzinnych, samotności i nadziei, towarzyszącej wykluczonym oraz niezrozumianym jednostkom. Urzekło mnie to ze względu na podkreślanie wyjątkowości miejsca, jakie przyjaciele mogą zająć w sercu człowieka, kiedy brakuje mu kochających krewnych u boku.

Właściwie wszyscy poszukiwacze tożsamości, włącznie z Leilą, to indywidualne, ale wyjątkowe osobowości, które łączy potrzeba akceptacji i dążenie do bycia tym, kim się czują. Ogromna odwaga, determinacja i chęć samostanowienia o sobie i własnym ciele, napawają nutką optymizmu, choć początkowe zapoznanie się z losem postaci może przyprawiać czytelnika o lekkie przygnębienie. Każda z nich musiała bowiem ponieść wysoką cenę w zamian za odnalezienie własnej drogi do wolności. Mimo, że o przeżyciach bohaterów czyta się szybko i z nieuzasadnioną lekkością, nie ulega wątpliwości, że autorka nie stroni od poruszania trudnych tematów takich jak transseksualizm czy prostytucja, stąd polecałabym ją zwłaszcza nieco starszemu gronu czytelników.

Kulturowe starcie z wartościami

Fabuła, mimo drobnych mankamentów, tworzy unikatową całość. Przyznaję duży plus za osadzenie akcji w klimatycznych realiach Bliskiego Wschodu drugiej połowy XX wieku. Nie da się ukryć, że aspekt kulturowy niejednokrotnie rzucał cień na odbiór pewnych treści i stanowił punkt wyjścia do zrozumienia sposobu postępowania czy emocji bohaterów. Od czasu do czasu lektura staje się przejmującą opowieścią o prowincjonalnej mentalności, hamującej pragnienie życia po swojemu i sprzeciwiającej się odmiennym ideałom. Oprócz tego Shafak w bezpośredni sposób stara się zobrazować czytelnikowi bezradność kobiet, którym życie w opresyjnym społeczeństwie nie zapewnia zbyt wielu możliwości. Z tego względu w powieści jest istotny chociażby motyw dorastania w muzułmańskim domu, przesiąkniętym tradycjonalnością, stereotypowością i radykalnością religijną.



fot. Marta Godurkiewicz

W tej książce każde z żyć łączy odrębna historia

Mam jednak wrażenie, że nie jest to próba napiętnowania tureckich zwyczajów, ale chęć przybliżenia czytelnikowi obyczajów, codzienności i dostarczenia mu pewnych faktów na tle historycznym. Nie da się też ukryć, że sposób przedstawiania tamtejszej rzeczywistości jest intrygujący i z całą pewnością utrwalony na podstawie osobistych odczuć autorki, którymi książka zdaje się być przesiąknięta. To samo tyczy się opisów miejsc lub autentycznych wydarzeń z dziejów okolicznych społeczności. Niemniej jednak zaowocowało to ciekawą wędrówką w egzotyczne i w pewnym sensie fascynujące rejony świata, które jednak skrywają swoją mroczną stronę.

Marta GODURKIEWICZ
margod@st.amu.edu

Urzędnik

THE PILAWAS

Doprawdy niepojęta jest potęga wiedzy. Zdanie to samo w sobie może stanowić pewien paradoks, podobnie jak słowa przypisane greckiemu starcowi, który wiedząc, nie wiedział nic. W owej świadomej niewiedzy skrywa się jednak coś więcej niż jedynie zestawienie antagonistycznych stanów wiedzy. Dla wielu nadmierna wiedza może bowiem równać się niewiedzy, dezorientacji i zagubieniu. Dla innych nadmierna wiedza może z kolei być niedoborem wiedzy i zachętą do poszerzania jej zasobów, nawet w wątpliwy moralnie sposób. Najniebezpieczniejsza jest jednak wiedza o kimś. Na przykład o Stanisławie Pilawie.

Nieludzko wysoki człowiek bez twarzy stanął w progu mieszkania Pilawów w niedzielne południe. Cóż za bezduszna pora! Tak się złożyło, że żona Stanisława, Katarzyna Pilawa, przebywała tego dnia u swoich rodziców. Mąż nie dojechał ze względu na konflikt dyplomatyczny z teściową wywołany podczas ostatnich świąt. Siedział sam w domu i za nic nie spodziewał się gości. Wpatrzony w czarnobiały film na ekranie telewizora odpoczywał po długiej nocy. Pomiędzy otłuszczonymi palcami Stanisława wyginała się pajda białego chleba z jeszcze tłustszym smalczykiem. W odległości pół metra od jego prawego ramienia spoczywała na ławie otwarta puszka złocistego napoju.

Równie nagłe co intensywne pukanie do drzwi przeraziło Stanisława. W odruchu wyrzucił nadgryzioną kanapkę, która niestety wylądowała tłuszczem na dywanie. Zestresowany mężczyzna poprawił bawełniany szlafrok i przejechał utytłanymi palcami po siwiejącym czole. Kogo mógł się spodziewać o tej porze? Chyba tylko przedwcześnie wracającej małżonki. Pozostał więc zacumowany w fotelu. Przecież Katarzyna miała swój komplet kluczy. Minęło kilkanaście sekund i stukanie rozległo się ponownie. Tym razem jeszcze silniejsze i bardziej natarczywe.

Pilawa odkrzyknął w kierunku przedpokoju. Z wolna przechylił się, by podnieść, ochuchać, a następnie odstawić kromkę na blat ławy. Wzdychając, podźwignął z siedziska ciężar własnego życiowego bagażu. Wsunął opuchnięte stopy w skórzane klapki i raz jeszcze poprawił znoszony szlafrok. Powolnie przeczłapał pod drzwi wejściowe. A ponieważ intruz cały czas walił, Stanisław odburknął i otworzył.

W tym samym momencie ujrzał wysokiego do sufitu mężczyznę w rdzawym płaszczu i kaszkiecie tego samego koloru. Człowiek ów natychmiast zmierzył gospodarza od stóp po czoło, zupełnie jakby zamiast oczu posiadał stworzony do takich pomiarów przyrząd. W ogóle jego fizjonomia przedstawiała się bardzo nieciekawie. Miał płaską twarz, bladą cerę, wąskie pozbawione warg usta i spłaszczone płatki nosa. Jego wyraz twarzy zaś w zasadzie nie istniał wcale.

Widok olbrzyma skarcił krzyż Stanisława pątniczym dreszczem. Nieprzyjemne uczucie powtórzyło się wraz z przemówieniem przybysza. Obcy szorstkim tonem poprosił Stanisława o podanie imienia i nazwiska. Pilawa początkowo zaniemówił. Nie dość, że przyjemniaczek zakłócił jego wypoczynek, to jeszcze nie znał jego nazwiska. Ostatecznie jednak przedstawił mu się, a ten od razu spisał to w swoim obszernym notesie z licznymi zakładkami w postaci żółtych karteczek. Następnie bez zaproszenia wpakował się do mieszkania, prawie że tratując przy tym swoim kombajnowym ramieniem nieszczęsnego Pilawę. Zakłopotany mężczyzna podążył za dryblasem.

W środku intruz zaczął zadawać szereg niedorzecznych pytań. Interesowały go takie parametry jak rozmiar noszonych skarpet, długość nosa, przeciętny czas snu i liczba zjadanych dziennie posiłków, w tym z produktami mięsnymi. Każdą odpowiedź notował w swoim dzienniczku i zestawiał z zawartą w nim wiedzą. Kreśląc kolejne litery, pomrukiwał niczym niedźwiedź. Chyba sprawiało mu to przyjemność. A ponieważ rozmiarami także przypominał miśka, Stanisław nawet nie próbował odmawiać udzielania informacji, żeby nie wspomnieć o ich zakłamywaniu. Na samą myśl o rozgniewaniu intruza dostawał ciarek.

Następnie człowiek ów skierował się do kuchni. Tam opukał długopisem palniki na piecu i blaszany czajnik. Bez pytania podnosił pozostawione na wierzchu, nie umyte kubki. Uważnie oglądał ich spody i analizował resztki zawartości. W końcu dopadł też do lodówki, gdzie również bez żadnej autoryzacji zapuścił łapska o palcach rozległych niczym macki ośmiornicy. Oczywiście wszystko dokładnie spisywał, mrucząc lub pochrząkując naprzemiennie. Pilawa coraz gorzej znosił jego obecność.

Później przyszedł czas na toaletę, gdzie chyba nie trzeba wspominać, czym przede wszystkim interesował się tajemniczy rachmistrz. W końcu zażenowany Stanisław znalazł się z nim w łazience. Tam nie wytrzymał po pytaniu o „wykorzystanie przestrzeni do mycia całego ciała, to jest wanny, wanny z prysznicem bądź kabiny prysznicowej, w celach innych niż na użytek mycia całego lub części ciała". Nieśmiałym głosem zaczął artykułować swoje wątpliwości. Chciał chociażby poznać powód tak śmiałego poszukiwania. Obcy odburknął jednak wyłącznie coś na temat obowiązków i podniosłej pracy.

Galaretowaty mózg Stanisława Pilawy zalewał wrzątek gniewnych myśli. Pilnował się jednak, ażeby nie poczerwienieć na zewnątrz, gdyż to na pewno natychmiastowo znalazłoby się w skoroszycie giganta. Pilawa zaczynał nawet myśleć o przemocy. Tylko jak walczyć z takim gigantem? Człowiek ten, cały czas w butach i kaszkiecie, miarą z palców pomierzył cały przedpokój. W sypialni zerwał kołdrę z niepościelonego łóżka i zaczął dokładnie obwąchiwać. Stanisław nie wytrzymał i raz jeszcze zaczął stawiać pytania. W odpowiedzi usłyszał jedynie flegmatyczny chichot.

W tej samej chwili Pilawa rzucił się do ucieczki. Swobodnie wybiegł na klatkę schodową, a następnie przed blok. Tamten nawet za nim się nie obejrzał. Stanisław jednak nie długo cieszył się wolnością. Zaraz też złapał się za głowę i skarcił w myślach. Przecież nie mógł zostawić obcego w swoim domu. Dygocąc ze strachu, wszedł z powrotem po schodach. Wielkolud wciąż przeglądał sypialnie. Stanisław dopadł do kuchni, sięgnął najdłuższy z noży, wręcz tasak do mięsa, po czym zadyszały ruszył do ataku.

To samo ostrze po chwili wylądowało na posadzce. Bez krwi. Napastnik przeraźliwie ryknął z bólu, kiedy wielki człowiek bez najmniejszego wysiłku wykręcił mu dłoń w taki sposób, że najpewniej w ogóle wyłamał nadgarstek z przedramienia. Stanisław w samym szlafroku i bez godności upadł na kolana. Pozostał tylko jeden pokój. Intruz za ramię przeciągnął do niego Stanisława po podłodze.

Tam bez żadnej zmiany w porównaniu z dotychczasowym zachowaniem przeprowadził inspekcję. Pozaglądał za firany, wyliczył wszystkie doniczki, wypróbował ukochany fotel Pilawy, przeczesał biblioteczkę oraz niewielki barek. Osłuchał nawet jakość dźwięku z cały czas włączonego telewizora. Najbardziej zainteresowała go jednak tłusta plama po smalczyku. Narobił mnóstwo zdjęć, pomiarów, a w notesie rozpisał wielki elaborat. W międzyczasie musiał kilkukrotnie skonsultować się z kimś przez telefonu. Kiedy już skończył, zatrzasnął z hukiem swój pękaty notes. Miał już wychodzić, lecz Stanisław cienkim głosikiem przywołał intruza do siebie. Musiał poznać prawdę. „Jak to dlaczego? Dla ojczyzny!" – odparł uśmiechnięty urzędnik i odszedł.

Krzysztof POLASIK
krzpol1@st.amu.edu.pl

Kryształ niejedno ma imię

Recenzja „Kryształowych dzieci" Laury Chudzyńskiej

Kiedy słyszysz słowo „kryształ", zapewne pierwszym skojarzeniem przywołanym w twojej głowie jest przezroczyste, czyste szkło, używane do wyrobu kielichów, wazonów i innych ozdobnych wyrobów z tego materiału. Być może będzie to także skojarzenie z czymś czystym lub w ostateczności z człowiekiem nieskazitelnie moralnym. Niewielu pomyśli o tym, że „kryształ" oznacza także niesamowicie uzależniającą i wyniszczającą substancję.

Laura Chudzyńska to młoda pisarka, która w zeszłym roku zadebiutowała książką pt. „Kryształowe dzieci". Autorka porusza w niej temat, który wciąż jest mało popularny i zdecydowanie zbyt mało spopularyzowany, a którego problematyka jest równie poważna, co alkoholizm, czy chociażby narkomania. Chodzi oczywiście o kwestie uzależnienia od dopalaczy. Są to jedne z najniebezpieczniejszych substancji psychoaktywnych m.in. ze względu na swój różnoraki, często trudny do określania skład, który prowadzi często do bezsilności służb medycznych w przypadkach zażycia takiej substancji. Tym ważniejsze jest propagowanie informacji na ten temat, zniechęcających do obierania takiej ścieżki.

Przypadek zwany mefedron

„Kryształowe dzieci" to książka oparta na prawdziwych wydarzeniach, które opowiadają historię piątki młodych ludzi, przed którymi życie dopiero stało otworem. Miriam, Kaję, Oskara, Sedonię i Natana połączył przypadek, który w rzeczywistości nazywa się mefedron, potocznie nazywany kryształem. Jest to substancja chemiczna, która początkowo wywołuje euforię, pobudzenie, niweluje zmęczenie, ale przy tym silnie uzależnia i sieje ogromne spustoszenie w organizmie. Książka idealnie pokazuje, jak niebezpieczna jest to substancja, która potrafi uzależnić już po wzięciu pierwszej dawki.

Chudzyńska stanęła przed trudnym wyzwaniem pokazania historii uzależnień nie jako głupiego wybryku na własne życzenie, ale jako wynik zbieżności wydarzeń, trudnych sytuacji i uczuć, które sprawiły, że główni bohaterowie sięgnęli po narkotyk. Trzeba przyznać, że otwarte serce, brak uprzedzeń i szczera rozmowa z tymi ludźmi zapewniły autorce przepustkę do napisania poważnej i dobrej książki. Pomimo bardzo trudnej i poważnej tematyki tę lekturę czyta się naprawdę szybko i zadziwiająco lekko.



fot. Justyna Furmaniak

Ta książka udowadnia, że uzależnienie od dopalaczy to nie tylko młodzieńczy wybryk

Historie tych ludzi są niesamowicie wciągające i przy tym bardzo poruszające. Udział w tym ma bez wątpienia układ książki, który nie zawiera podziału na tradycyjne rozdziały. To piątka głównych bohaterów sama opowiada swoje historie, dzięki czemu jeden wątek możemy poznać z wielu perspektyw, a do tego dostajemy informacje nie tylko o przemyśleniach danej osoby, ale również o tym, co myśli o innych członkach grupy.

Niebezpieczna samotność

Opisy przeżyć wewnętrznych bohaterów pomagają zrozumieć czytelnikowi prawdziwe motywacje bohaterów, a także to, kim są naprawdę. Z historii tych ludzi płynie bardzo gorzka prawda, pokazująca, jak bardzo były one osamotnione. Właśnie to udowadnia, że uzależnienie od mefedronu nie było ich młodzieńczym wybrykiem, a próbą poradzenia sobie ze swoim bólem, przytłoczeniem i samotnością.

To poczucie samotności pokazuje także, jak znaczącą rolę w przypadku młodych uzależnień pełnią rodzice. Jak ważna jest ich uwaga, czujność, a także wsparcie i to nie tylko w obliczu takiego kryzysu, ale przede wszystkim ich zainteresowanie na co dzień. Zatem „Kryształowe dzieci" to nie tylko książka dla młodzieży, przestrzegająca ich przed zgubnym wpływem dopalaczy, ale także dla dorosłych i rodziców, którzy mogą i powinni być pierwszą pomocną ręką wyciągniętą w stronę osoby uzależnionej. Uważam, że to jest książka, po którą wcześniej czy później powinien sięgnąć każdy.

Justyna FURMANIAK
jusfur@st.amu.edu.pl

A gdyby tak uciec w Bieszczady?

Jak słusznie głoszą internetowe memy: miesiąc temu minęła rocznica dwutygodniowego lockdownu. Z jednej strony można się śmiać, bo w sumie cóż innego pozostało? Jednak najchętniej spakowałoby się plecak i uciekło. Najlepiej daleko, w przepiękne góry, przynoszące spokój i spełnienie.

Uciekam więc, choć jedynie wspomnieniami. Oglądam zdjęcia w albumie, w myślach przenoszę się z powrotem na szlak. Przypominam sobie tę błogość i satysfakcję, którą wtedy czułam. Przenoszę się na szlak, który przyniósł mi najwięcej radości. Według wielu najpiękniejsza trasa Bieszczad, ale dająca nieco w kość, bo liczy ponad 15 kilometrów. Nie lubię tłumów. Idę jedynie z narzeczonym.

Niepozorny spacer po lesie

Wychodzimy z Mucznego i wchodzimy do gęstego lasu, na którego skraju musimy kupić bilety do Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Na szczęście nie są drogie (dla studentów to 3,50 zł). Idziemy ścieżką edukacyjną „Bukowe Berdo". Równolegle z nią biegnie żółty szlak, którym będziemy podążać. Ścieżka powoli wznosi się w bukowym lesie. O 8 rano jest tu dość wilgotno i mgliście. Dopiero na jego skraju czeka na nas strome podejście na grzbiet połoniny. Można się tu nieźle zasapać, między innymi przez wysoką wilgotność leśnego powietrza.

Niebiańskie śniadanie

Po ostrym podejściu, które wyprowadziło nas z lasu na połoninę Dźwiniacką, docieramy do punktu, w którym naszym oczom ukazuje się pierwsza tego dnia panorama. Co prawda nadal część pejzaży przysłaniają gęste poranne mgły, ale już w tej chwili wiemy, że widoki wynagrodzą nam cały trud. Drogowskaz, przy którym oczywiście robimy sobie pamiątkową fotkę naszych czerwonych z wysiłku twarzy, informuje, że do najwyższego wzniesienia Bukowego Berda mamy jeszcze godzinę. Po chwili przerwy ruszamy dalej. W tym czasie ciężkie senne chmury i wilgotne mgły zdążyły się rozstąpić, a naszym oczom ukazał się widok, który zapamiętam do końca życia.

Oczom nie wierzę

Nigdy jeszcze nie stałam tak długo z szeroko otwartymi ustami, jednocześnie nie mogąc przestać się uśmiechać i dziwić. Zobaczyliśmy panoramę na wszystkie cztery strony świata, tak rozległą, jak tylko sięga ludzki wzrok. Do tej pory chodziliśmy trochę po Tatrach, ale tam zachwycały nas ostre szczyty, po których zdobyciu w oddali widać było już bardziej płaskie tereny i miejscowości. Tymczasem tutaj spotkało nas coś, czego zupełnie się nie spodziewaliśmy – panorama szerokich połonin, tak rozległych, że ich końca nie widać. Można sobie tylko wyobrazić, że gdzieś tam daleko jest, że w ogóle istnieje. Obracam się i widzę po kolei: w kierunku wschodnim Krzemień, Halicz (a przynajmniej tak mówi mi mapa), Tarnica i szczyty po stronie ukraińskiej. Na południe, równolegle do nas, Szeroki Wierch, którym będziemy schodzić, a na drugim planie Rawki. Za naszymi plecami zostaje Połonina Caryńska i Wetlińska. Za ich sprawą dzieje się tu magia, której nie sposób opisać. Trzeba jej doświadczyć.

Już wiem, że kiedyś wrócę

Idziemy granią Bukowego Berda. Charakterystyczne są tu wystające na szlaku ostańce. W końcu docieramy do najwyższego wzniesienia. Udało nam się nawet znaleźć miejsce na ławeczce, więc siadamy i kontemplujemy prawdopodobnie jedną z najpiękniejszych bieszczadzkich panoram na Kopę Bukowską i Halicz. W głowie powstaje jedna myśl: to na pewno nie jest nasz ostatni raz w Bieszczadach, i choć w naszym tygodniowym planie trekkingowym tych szczytów nie ma, kiedyś wrócimy i je wybierzemy. Obowiązkowo.

Czy ktoś policzył te schody?

Zaczynamy schodzić na Przełęcz Goprowską, i jeśli ktokolwiek myśli, że schodzenie to na pewno pikuś i czysty odpoczynek, myli się strasznie. Pokonujemy tutaj kilkaset drewnianych schodów, a nasze kolana wołają o pomoc. Na szczęście mam w plecaku lód w sprayu, on, choć na chwilę przynosi ulgę. Na Przełęczy trzymamy się żółtego szlaku i kierujemy się ku kolejnym schodom. Tym razem prowadzą w górę na Przełęcz pod Tarnicą. Tutaj musimy mieć kilka przerw. Wybieramy metodę negocjacji z mózgiem i zmęczonymi kolanami- robimy przystanek przy każdej czerwonej tyczce, czyli co około 20 stopni. W rezultacie wejście zajmuje nam nie obiecane na znaku 15 minut, a jakieś pół godziny, ale nie mamy z tym problemu. Nigdzie się nie spieszymy, jesteśmy tu, by chłonąć góry całym sobą i mamy na to czas.

Prawie jak na molo w Sopocie

Po dotarciu do kolejnego drogowskazu wchodzimy na szlak prowadzący na Tarnicę – najwyższy szczyt polskich Bieszczadów. Spotyka nas tu spory tłok, co momentalnie odbiera radość ze spokojnego marszu. Ludzie się mijają, hałasują, wycieczka ze Śląska robi masę zdjęć i godo w śmiesznym języku. Ta atmosfera nie ma nic wspólnego z tą ciszą i relaksem, który zostawiliśmy za plecami. Po pokonaniu kolejnej setki schodów docieramy na Tarnicę. I chociaż muszę przyznać, że widoki, które oferuje nam ten szczyt, są niesamowite, to liczba osób tłamszących się na tej niewielkiej przestrzeni ogromnie męczy. Bardziej przypomina to plażę w Sopocie niż górski szczyt. Ludzie piją piwo, leżą na trawie, wychodząc poza wyznaczony szlak. Dzieci biegają, a zmęczeni rodzice próbują je złapać, choć te małe szkraby mają niemałą przewagę. Cała ta atmosfera i duże zagęszczenie osób sprawia, że dosyć szybko schodzimy i wracamy na przełęcz pod Tarnicą. Stąd wchodzimy na Tarniczkę, gdzie jest o wiele spokojniej. Tutaj urządzamy sobie drugie śniadanie z zachwycającym widokiem na polskie i ukraińskie pasma gór.



fot. Katarzyna Drzewiecka

Bieszczadzkie panoramy i prawie puste szlaki potęgują uczucie spokoju i błogości

Najpiękniejszy odcinek wędrówki

Po dosyć długim odpoczynku wyruszamy w ostatni etap naszej dzisiejszej wędrówki. Schodzimy Szerokim Wierchem do Ustrzyk Górnych. Po prawej stronie znów mamy dobrze znane już Bukowe Berdo, za plecami zostawiamy Tarnicę i Halicz. Maszerując cały czas mamy przed sobą Połoniny Caryńską i Wetlińską. Szlak granią jest mało wymagający, spokojny, nie ma tu tłumów. Znowu mamy poczucie relaksu i wyciszenia. Po godzinie kończymy wędrówkę granią Szerokiego Wierchu i schodzimy na początku łagodnie opadającą ścieżką wśród wysokich traw. Do auta mamy około 1,5 godziny. Po chwili szlak staje się stromy i musimy bardzo uważać na luźne kamienie. W końcu docieramy do granicy lasu. Ostatni raz obracam głowę i zachwycam oczy widokami grani połonin. Teraz czeka nas już tylko las, który niestety przysłoni nam pejzaże gór.

Specyficzna mieszanina uczuć

W lesie mijaliśmy ciekawe, wystające na różne sposoby korzenie, o które łatwo się potknąć. Niżej było też sporo podmokłych terenów, gdzie zastosowano drewniane kładki. Dzięki temu można było przejść bez ryzyka poślizgu. Po wyjściu z lasu i jeszcze około 20 minutach marszu dotarliśmy na parking. Chyba nie skłamię, mówiąc, że nigdy jeszcze nie byłam jednocześnie tak szczęśliwa i zmęczona. A do tego wszystkiego niesamowicie wdzięczna za to, że życie dało mi szansę przeżycia takiego dnia, a moje nogi nie odmówiły posłuszeństwa w połowie trasy, robiąc mi wstyd przed innymi wędrującymi. Tego dnia zakochałam się w Bieszczadach i jestem pewna, że to dopiero początek naszej miłości.

Katarzyna DRZEWIECKA
Katdrz4@st.amu.edu.pl

Tilda Swinton: „Mam szczęście – nie jestem pięknością"

Kobieta–zagadka. Ludzie obsypują ją pochlebnymi cechami i prezentami. Najodważniejsza modelka znanych fotografów mody. Dama ponadczasowa. Biografia Tildy Swinton, jej aktorski los oraz filozofia życia.

Mlecznobiała skóra, jasne brwi i rzęsy, 180 cm wzrostu. „Często mówią do mnie „sir" w windach lub na ulicy. Prawdopodobnie dlatego, że jestem wysoka i nie nadużywam szminki" – takie słowa padły z ust aktorki w wywiadzie dla magazynu Elle. Tilda urodziła się w stolicy Wielkiej Brytanii w rodzinie Johna Swintona, siódmego Lorda Kimmergema i Lady Judith Balfour Killen. Aktorka wywodzi się ze starożytnego anglo-szkockiego rodu, którego korzenie sięgają XI wieku. Jako dziecko Tilda mieszkała w Niemczech, gdzie w ramach obowiązków służbowych pracował jej ojciec. Później rozpoczęła naukę w prestiżowej, zamkniętej szkole w Kent. Dziewczynka uczyła się doskonale, śpiewała w szkolnym chórze i dawała wysokie wyniki w lekkoatletyce. Wykształcenie wyższe uzyskała w Fetts College, a także w New Hall. Tilda studiowała politologię, socjologię i literaturę angielską. Później aktorka dołączyła do trupy Royal Shakespeare Theatre w Stratford i koncertowała ze słynnymi aktorami: Garym Oldmanem i Kennethem Branaghem. W 1989 roku zakończyła karierę teatralną, koncentrując się wyłącznie na działalności filmowej.

W męskim obliczu

W młodości Tilda występowała w serialach telewizyjnych. Następnie poznała reżysera Dereka Jarmana, z którym rozpoczęła wieloletnią współpracę. Pierwszym zwrotnym momentem w karierze aktorki była adaptacja legendarnej powieści Virginii Wolfe „Orlando". Gra aktorki została uznana przez krytyków za oszałamiającą. Swinton stworzyła dwa obrazy jednego mężczyzny - męskiego i żeńskiego - i została nagrodzona tytułem najlepszej aktorki roku na kilku festiwalach filmowych. W psychodelicznym filmie „Supsiria" Swinton wcieliła się w postać 82-letniego mężczyzny. Nikt nie mógł w to uwierzyć, jednak później aktorka sama przyznała, że to prawda. Tilda musiała spędzać w garderobie 4 godziny dziennie, aby przekształcić się w męskie wcielenie. Mieszanie męskich i żeńskich elementów stało się cechą charakterystyczną gwiazdy. Nosi ona krótkie włosy, ubrania w stylu unisex i pozycjonuje się jako androgyn.

„Mam szczęście – nie jestem pięknością"

Tilda nie jest człowiekiem, który ma obsesję na punkcie wyglądu. Cały czas lubi się zmieniać. Uważa swój wygląd za „plastyczny", ponieważ może prezentować się zarówno jako arystokratka XIX wieku, jak i jako zwykła kobieta zagubiona w codziennym życiu. Dlatego nie widzi ona sensu, by zbyt poważnie podchodzić do kwestii urody. Najważniejsze jest, aby czuć się komfortowo w swoim ciele.

„Zawsze wiedziałam, że nie jestem piękna. To duża zaleta. Wszyscy moi mili przyjaciele prędzej czy później wprowadzili swój wygląd do obiegu. Cały czas pamiętają, że mają jasne włosy, niebieskie oczy, pulchne usta i muszą się odpowiednio zachowywać. To duża presja, której zostałam pozbawiona. Nie byłam postrzegana jako dziewczyna, i nie uważałam się za nią. Wyłączyłam seksualność i uznałam to za bardzo wygodne" – przyznała aktorka w tym samym wywiadzie.

Wiek nie jest dla niej przeszkodą

Aktorka ma 61 lat, co oczywiście jest tylko liczbą. Mówi, że idea wieku jest bardzo przereklamowana. Uważa, że nie chodzi o liczbę, ale o to, dlaczego i jak ludzie się odnajdują. Chce być jak jej ciotka, która po sześćdziesiątce żyła nowym, długim, szczęśliwym życiem trwającym trzy dekady. Wierzy, że najlepsze zawsze pozostaje na końcu. „W mojej pamięci zachowało się kilka wspaniałych lekcji życia, jednej z nich nauczyła mnie moja babcia. Ona urodziła się w 1900 roku i zmarła w wieku 97 lat. I do samego końca się cieszyła. Zawsze mówiła, że wiek jest bardzo zabawną rzeczą i z każdym rokiem życie staje się coraz lepsze. Tak samo jest teraz dla mnie" - wypowiedziała się w wywiadzie ze Stephenem Colbertem.

Anastasiya BURNEL
anabur@st.amu.edu.pl

Nowa (choć stara) miotła w Kolejorzu

Miała być walka o mistrzostwo i kolejne zmagania w europejskich pucharach. Zamiast tego mało brakowało, a przez następne kolejki Lech walczyłby o utrzymanie w Ekstraklasie. Teraz już wiemy, że mistrz do Poznania nie zawita, ale wciąż są matematyczne szanse na awans do kwalifikacji Ligi Konferencji. Chociaż do tego potrzebna jest jeszcze odrobina szczęścia.

Odległe od zadowalającego miejsce w tabeli, porażki i niesatysfakcjonująca gra sprawiły, że ze stanowiskiem trenera pierwszej drużyny pożegnał się Dariusz Żuraw. Po ponad 3 latach w klubie przyszedł czas na zmiany. Lechici nie prezentowali już tej formy, którą z przyjemnością oglądało się w ubiegłym roku, kiedy grali w rundzie grupowej Ligi Europy. Coś się w nich wypaliło i potrzeba było nowych bodźców. Kibice domagali się tego od dawna i wreszcie się doczekali – 10 kwietnia nowym trenerem Lecha Poznań został Maciej Skorża.

Ale to już było…

Skorża nie jest postacią nieznaną dla poznańskiego środowiska. Prowadził już drużynę z Bułgarskiej w sezonie 2014/15. To właśnie wtedy po raz ostatni Lechici sięgnęli po tytuł mistrza Polski i Superpuchar Polski (wygrany mecz 3:1 z Legią Warszawą). Jego osoba za sterami Lecha może napawać optymizmem na kolejny sezon. Czas by wreszcie na Stadion Miejski sprowadzić kolejne puchary. Trener Maciej Skorża do Poznania wraca po trwającej dwa lata przygodzie w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Pracę z reprezentacją do lat 23 zakończył po tym, jak nie udało mu się awansować ze swoją drużyną na igrzyska olimpijskie w Tokio.

Warszawski walec zatrzymany

Do Lecha, który zamiast zdobywać, tracił punkty i nie grał w najlepszym stylu, przyjechała Legia Warszawa mająca przejechać się z łatwością po poznańskiej murawie. Po czterech zwycięstwach z rzędu, z czego dwóch dość wysokich (0:4 z Zagłębiem Lubin, 4:2 z Pogonią Szczecin), drużyna z Warszawy była zdecydowanym faworytem, a komplet trzech punktów po spotkaniu z Lechitami miał być jedynie formalnością. Lech był w dołku, a w meczu poprowadzić go miał trener tymczasowy – dotychczasowy asystent trenera, Janusz Góra. Ku zdziwieniu wszystkich „polskie El Clasico" zakończyło się podziałem punktów przy bezbramkowym remisie. Choć drużyna z Łazienkowskiej miała kilka groźnych akcji, które mogła zamienić na bramki, brakowało wykończenia. Szczególnie stałe fragmenty gry, to element, który Legii w tym spotkaniu nie wychodził i kończył się stratą piłki. Atutem Lecha był gruziński pomocnik Kvekveskiri, który zaliczył debiut w wyjściowym składzie i wreszcie rozegrał pełne 90 minut. Gra w jego wykonaniu przez wielu została uznana za „fenomenalną". Nie dziwi więc fakt, że Kvekve znalazł się w najlepszej jedenastce kolejki PKO BP Ekstraklasy. Z kolei obecność w niej bramkarza „Wojskowych" Artura Boruca może budzić już pewne wątpliwości.

Czterodniowa sinusoida

Po Legii przyszedł czas na starcie z rozpędzonym Rakowem Częstochowa, który awansował do finału Pucharu Polski i już teraz obstawiać można, że sięgnie po ten tytuł. W spotkaniu w Bełchatowie Lechitów poprowadził trener Maciej Skorża, który – jak mówił po meczu – nie był zadowolony z wybranego przez siebie ustawienia. W debiucie Lech uległ drużynie z Częstochowy 3:1, a honorowe trafienie zaliczył Mikael Ishak. Pierwsza połowa w wykonaniu drużyny z Poznania, nie była tym, czego kibice oczekiwali po zmianie trenera. W drugiej wyglądało to już trochę lepiej, ale wciąż nie była to postawa, która mogła odmienić losy spotkania.



fot. Aleksandra Kłosowska

Lech Poznań - Legia Warszawa 0:0

Po bezbarwnym meczu w sobotę przyszedł czas na wtorkowe zmagania z Lechią. Drużyna z Gdańska przyjechała na trudny dla niej teren. Na 16 spotkań w Poznaniu wygrali tylko raz. Przed meczem Skorża podkreślał, jak ważny jest mentalny aspekt gry. Jednak po pierwszej połowie w wykonaniu Lechitów nie było widać, by ich nastawienie się poprawiło. Na szczęście obraz gry zmienił się po gwizdku rozpoczynającym drugie 45 minut. Najpierw bramka Skórasia, a następnie karny Ishaka dały Lechowi wiatru w żagle. Po bramce Ramireza na 3:0, który wreszcie się przełamał, było już po spotkaniu. Skorża dał minuty zmiennikom, a drużyna Stokowca podtrzymała niechlubną passę.

Lech w walce o europejskie puchary?

Chociaż zwycięski mecz z Lechią sprawił, że widać światełko w tunelu, wciąż jest ono niewielkie. Lech zajmuje obecnie 9. miejsce w tabeli z dorobkiem 33 punktów, a w kolejce do europejskiej przygody znajduje się przed nim 5 drużyn – w tym cztery z dorobkiem 38 punktów. Tuż nad Lechem, na pozycji 8. znalazła się Warta Poznań (36 pkt). Szanse dla Lechitów są, ale by urzeczywistnić marzenia musieliby wygrać wszystkie cztery następne mecze i liczyć na to, że drużyny znajdujące się powyżej będą mieć zdecydowanie mniej szczęścia – a najlepiej wcale.

Aleksandra KŁOSOWSKA
aleklo6@st.amu.edu.pl

Panowie na medal – czyli o rozgrywkach polskich siatkarzy w 2021 roku

W 2021 roku nie tylko możemy mówić o zmaganiach polskich piłkarzy na Mistrzostwach Europy w piłce nożnej mężczyzn. Musimy również pamiętać o naszych siatkarzach, którzy wezmą udział nie tylko w wydarzeniu jakim są igrzyska olimpijskie w Tokio. Jako przedsmak tych wydarzeń, nasi polscy siatkarze staną do waliki w corocznej Lidze Narodów. Reprezentacje kobiet staną do wali o medale już 25 maja, natomiast mężczyźni trzy dni później.

Czym jest liga narodów?

Historia siatkarskiej Ligi Narodów jest dość krótka, albowiem po raz pierwszy zawody odbyły się w 2018 roku. Coroczne mistrzostwa zastąpiły Ligę Światową oraz World Grand Prix, które ostatecznie zakończyły się w 2017 roku. W zawodach bierze udział 16 reprezentacji. Podzielone są one na 12 drużyn stałych oraz 4 drużyny pretendujące. Zawody odbywają się na zasadzie „każdy z każdym". W ten sposób, każdy zespół zagra co najmniej 15 meczów.

Wpływ pandemii na zawody

Zagłębiając się w temat, niestety musimy zauważyć, że coroczne wydarzenie zostało przerwane w 2020 roku z powodu pandemii. Oficjalny komunikat wydany 8 maja 2020 roku, dotyczył odwołania zawodów przez Międzynarodową Federację Piłki Siatkowej. Fani piłki siatkowej musieli niestety obyć się smakiem i ze niecierpliwieniem czekać kolejny rok, by obserwować poczynania swoich przedstawicieli, w prestiżowym konkursie siatkarskim jakim jest Liga Narodów. W 2021 roku po raz kolejny będziemy mogli obejrzeć wysiłki panów oraz pań. Oczywiście musimy nadal pamiętać o ograniczeniach jakie będą obowiązywały podczas turnieju.

„Bezpieczna bańka"

Gospodarzem rozgrywek reprezentantów kobiet jak i mężczyzn w zawodach będzie jedynie Włoskie miasto Rimini. W tym roku organizatorzy opracowali politykę bezpieczeństwa, która ma ograniczyć rozprzestrzenianie się koronawirusa, by zawody zostały przeprowadzone w sposób bezpieczny dla wszystkich. Oznacza to 40 dni w jednym mieście zawodów zarówno kobiet jak i mężczyzn. W ten sposób ograniczone zostanie przemieszczanie się zawodników po świecie, co z kolei ma wpłynąć na zminimalizowanie zakażeń na zawodach. Oczywiście każdy podlegać będzie stałej kontroli poprzez wykonywanie testów, w celu wykrycia zakażenia wirusem SARS-CoV-2. W tym roku również nie zobaczymy symbolicznego pożegnania się drużyn przez podanie dłoni. Ponadto drużyny rozegrają oba sety na tej samej połowie boiska. Zamiana stron nie będzie już możliwa. Na koniec warto wspomnieć o możliwości wymiany zawodników. Pojawiła się informacja, że reprezentacje będą mogły wymienić 6 zawodników, natomiast ewentualnie zmiany mogą nastąpić jedynie 9 czerwca w przypadku kobiet, dla mężczyzn będzie to data 12 czerwca, czyli 3 dni później. Jest to ogromna zmiana, gdyż początkowe założenia stworzone, by zawody odbyły się podczas pandemii odrzucały taką możliwość. W tym wypadku mamy do czynienia również z kolejnymi warunkami. „Bezpieczną bańkę" będzie musiało opuścić również 6 zawodników, natomiast wszelkie możliwe zmiany muszą zostać zgłoszone na dwa tygodnie przed rozpoczęciem zawodów.



https://www.pzps.pl/pl/multimedia/galeria/241-seniorzy/413-2020-07-23-polska-niemcy-w-zielonej-gorze-ii

Reprezentacja Poski przed meczem towarzyskim

Wsparcie kibiców oraz komentarze dziennikarzy

Ze względu na wspomniane wyżej ograniczenia, zawody będziemy mogli obejrzeć jedynie sprzed telewizora. Rozgrywki będą zamknięte, czego skutkiem jest wyłączenie publiczności z trybun. Jest to niewątpliwie utrudnienie dla siatkarzy. Możemy powiedzieć, że brak publiczności wiąże się pewnym niedosytem odnośnie do dopingowania drużyn. Czy przełoży się to na wyniki rozgrywek? Siła kibiców powoduje bowiem euforie, jak również otuchę w kryzysowych sytuacjach. Co więcej, dziennikarze również nie będą bezpośrednio obecni w czasie rozgrywek. Zostanie za to stworzona dla nich specjalna wirtualna strefa.

Zawody z udziałem naszych reprezentantów są niewątpliwie śledzone przez wielu Polaków. Musimy pamiętać, że w tym roku Liga Narodów jest jedynie przedsmakiem prawdziwych emocji i wyzwań dla zawodników. Chęć wygranej dla ojczyzny oraz zdobycia medalu będzie natomiast celem, w każdym możliwym turnieju. Pamiętajmy jedynie, że podczas pandemii niczego nie możemy być pewni. Pozostaje nam trzymać kciuki i wierzyć w pomyślność rozpoczęcia zawodów.

Karolina KOZŁOWSKA
Karkoz10@st.amu.edu.pl